



Tomasz Biedrzycki

**WYRZUT
KORONALNY**

TOMASZ BIEDRZYCKI

WYRZUT
KORONALNY

WYRZUT KORONALNY

Copyright © by Tomasz Biedrzycki, Jelenia Góra 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez zgody autora

All rights reserved

Okładka

Solar Dynamic Observatory / NASA

Korekta

Agnieszka Koprowska

Wydanie I

Jelenia Góra 2013-07-04

ISBN 978-83-934329-6-7

www.tomaszbiedrzycki.pl

PROLOG

Dwadzieścia godzin przed czasem „X”, Goddard Space Flight Center, Maryland.

W długim, wąskim pomieszczeniu ustawiono dziesiątki komputerów i ekranów urządzeń elektronicznych. Powietrze wypełniał cichy szum dziesiątek wentylatorów, odprowadzających nadmiar ciepła. System sprawował kontrolę nad sondą SDO¹, przekazującą w czasie rzeczywistym megabajty danych z kosmosu. Wąskie okna zasnuwała ciemność. W pomieszczeniu rozległo się ospałe szuranie nogami. Zza serwerowych szaf wyłoniła się wychudła postać naukowca. Zaczzerwienione oczy wskazywały na długotrwały brak snu. Ciągnął ociężale nogę za nogą, wyglądając jak autentyczne zombie. Ożywił się dopiero przy automacie z kawą. Urządzenie zaszumiało i po chwili mężczyzna miał w dłoni kubek pełny gorącej, aromatycznej kawy. Z rozkoszą zanurzył w niej usta. Z każdym łykiem życie wstępowało w zmęczone ciało. I wtedy usłyszał głośny dźwięk telefonu komórkowego. Przestraszony wylał część gorącej mokka na koszulę. Mruczając pod nosem przekleństwo, czym prędzej odebrał rozmowę. Ekran bezlitośnie wyświetlał prywatny numer kierownika projektu.

- Słucham? – Drżący głos naukowca wskazywał, że parząca go plama z kawy niepokoiła niemal tak samo, jak telefon szefa po północy.

- Larry, czy ja muszę do ciebie dzwonić, że alarm na S.D.O się włączył? - Głos kierownika projektu drżał z wściekłości.

Naukowiec słuchał w milczeniu tyrady. Dopiero po dłuższej chwili westchnął i wszedł rozmówcy w słowo, gdy ten zamilkł by nabrać oddechu.

- Wyszedłem tylko po kawę. Wracam i zobaczę, co jest grane – ostatnie słowa naukowca zabrzmiały pojednawczo. To jednak wzbudziło nową falę emocji u szefa.

- Łaski nie robisz kolego. Jeśli nam się satelita wyłączył tak jak S.O.H.O², to będziemy ugotowani! – Ostatnie słowa kierownik wypowiedział swoim słynnym „szepem”. Naukowiec nie miał ochoty dłużej spierać się z rozsierdzonym przełożonym. W kilku krótkich słowach zakończył nieprzyjemny dialog i rozłączył się. Bez pośpiechu podążył w stronę niewielkiego centrum sterowania, sprawującego kontrolę nad satelitami obserwującymi Słońce. Dzisiejszą noc spędzał tu samotnie. Epidemia grypy przerzedziła szeregi zespołu. Larry wzruszył ramionami. Nigdy nie przepadał za towarzystwem. Ta praca była dla niego szczytem marzeń. Z westchnieniem ulgi usiadł w wygodnym fotelu i oparł dłonie na klawiaturze. Wystukał kilka poleceń. Na ekranie pojawił się komunikat o przejściu S.D.O w stan bezpieczny. Larry pamiętał kilka takich sytuacji, toteż bez zbytniego zdenerwowania zajrzał do logu systemu. To, co przeczytał, sprawiło, że rozbudził się natychmiast. Log kończył się nagle. Mężczyzna w głębi ducha pomyślał o stanie psychicznym kierownika, jeśli okaże się, że S.D.O został „zestrzelony” przez mikrometeoryt. Mimo braku kontaktu z urządzeniem, Larry wysłał polecenie przeprowadzenia diagnostyki przez systemy pokładowe satelity. Tknięty przecuciem, zajrzał do surowych, nieobrobionych danych

zbieranych przez S.D.O. Gdy ujrzał trzy ostatnie zdjęcia, kubek do połowy wypełniony chłodną już kawą spadł na marmurowe płyty podłogi rozbryzgując wokół brązową ciecz. Na ostatnim zdjęciu, aparat satelity uwiecznił potężny rozbłysk, zakrywający niemal całkowicie tarczę słoneczną. Serce podeszło Larremu do gardła. Natychmiast uruchomił główny panel sterujący. Na ekranach zasłaniających jedną ze ścian pomieszczenia pojawiły się odczyty przekazywane z innych urządzeń znajdujących się w przestrzeni, skierowanych na Słońce. Odczyty intensywności wiatru słonecznego rosły szybko w górę. W ciągu niespełna piętnastu minut przeanalizował spływające dane. Wychudła twarz Larrego była całkowicie blada, gdy drżącym palcem wystukiwał numer telefonu do kierownika. Trzy sygnały, które usłyszał w słuchawce, wydawały się trwać bez końca.

- Słucham? – Zaspany głos wskazywał, że szef zdołał zasnąć po pierwszym, niespodziewanym telefonie. Chudy mężczyzna starał się zapanować nad swoim głosem, ale słowa z trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło.

- Larry z tej strony... - Głos naukowca był nienaturalnie wysoki. W słuchawce rozległo się wściekłe sapnięcie przełożonego, ale nie zdążył się „rozkręcić”.

- Zarejestrowaliśmy rozbłysk na Słońcu, siła większa od rozbłysku Carringtona³ przynajmniej o czterdzieści procent. Prawdopodobnie usmażył S.D.O...- Larry zdołał wreszcie zapanować nad swoim głosem. Odpowiedziała mu głęboka cisza. Mężczyzna sądził przez moment, że rozmówca się rozłączył.

- Zbieraj dane – ponury głos w słuchawce telefonu nie przypominał impulsywnego kierownika projektu Solar Dynamic Observatory. – Dzwonię do Białego Domu...

*

Gabinet prezydenta w Białym Domu, mimo późnej pory, wypełniał tłum ludzi. Pomiędzy nimi można było zauważyć szczupłą sylwetkę gospodarza, odzianego w szlafrok. Zaczerwienione oczy wskazywały na to, że brutalnie obudzono go ze snu. Na odgłos trzaśnięcia drzwi, spojrzenia zebranych zwróciły się na nowego przybysza. Był to niski, szczupły szatyn o zaciętej twarzy. Dyszał ciężko, jak po długim biegu. Odetchnął głęboko i przekroczył próg gabinetu owalnego. Na powitanie wyszedł mu doradca naukowy prezydenta. Uścisnął mu dłoń. Krótko i po żołniersku. Razem podeszli do głowy państwa.

- Panie prezydencie, przedstawiam szefa projektu Solar Dynamics Observatory Jimma Handona – kierownik z przesadną pieczołowitością uścisnął dłoń prezydenta. Nieproszony przez nikogo rozłożył na biurku dokumenty, które przyniósł w teczce pod pachą.

- Mamy najwyższy stan zagrożenia... – Handon w środowisku naukowym znany był z tego, że walił prawdę prosto z mostu. Przebywanie wśród polityków nie zmieniło go nawet na jotę. Niski, otyły sekretarz skarbu uniósł obie dłonie do góry, by powstrzymać potok słów naukowca.

- Hola panie Hendon. Proszę nie wchodzić w cudze kompetencje. – Szef sztabu, który pojawił się najwcześniej, pokiwał głową, milcząco popierając wypowiedź sekretarza skarbu.

– To fakt – głęboki głos generała miał ton nieznoszący sprzeciwu. – Wysłuchajmy waszej rewelacji bez siania paniki.

- Z całym szacunkiem – wypowiedź generała została gwałtownie przerwana przez Hendona. Jego oczy zwęziły się a usta zacisnęły w wąską kreskę, jak zawsze, gdy ktoś próbował go wyprowadzić z równowagi. Podniesiony głos kierownika projektu sprawił, że ucichł szum rozmów. Wszyscy zwrócili swoją uwagę na szczupłego naukowca.

- Nie mamy czasu na gdybania i dyskusje – Hendon kilkoma szybkimi ruchami rozrzucił po biurku prezydenta fotografie odbite na kserografie. Szef sztabu próbował protestować, ale prezydent uciszył go jednym ruchem dłoni.

- To zdjęcia S.O.H.O – obraz przedstawiał ogromny łuk plazmy, częściowo tylko mieszczący się w kadrze. Złowieszczo wyginał się w stronę krawędzi zdjęcia. Rzucony obok, wydrukowany skan rozbłysku przypominał do złudzenia zdjęcie działającej lampy błyskowej.

- Zarejestrowana przed trzydziestoma ośmioma minutami.
– Hendon westchnął i rzucił wprost w tłum kąśliwe słowa, umyślnie nadając im taki ton. Przedłużającą się ciszę przerwało spokojne pytanie prezydenta.

- Proszę nam zatem wytłumaczyć, cóż to takiego? I czym nam to grozi...

Hendon splótł dłonie na plecach. Przez głowę przeleciała mu myśl, że jeszcze nigdy nie miał tak wiekowych studentów. Czuł na sobie spojrzenia zebranych. Po raz pierwszy od bardzo dawna, poczuł

odrobinę tremy. Nabrał powietrza, by rozpocząć krótki wykład. Zaczął drżącym głosem.

- To, co tu panowie oglądacie, to koronalny wyrzut masy i poprzedzający go rozbłysk promieni gamma. Siłą przekracza wszystko, co zdołaliśmy zaobserwować. Świetlny efekt rozbłysku już do nas dotarł. Kolejne mogą spowodować uszkodzenia urządzeń elektronicznych, zwłaszcza w lecących samolotach i satelitach na orbicie. – Szef sztabu poruszył się niespokojnie, co nie uszło uwagi prezydenta. Hendon zamilkł na moment, oddając głos generałowi, który cichym, zupełnie nieswoim tonem mruknął.

- Przed przyjazdem dostałem meldunek o trzech samolotach nad Atlantykiem, z którymi straciliśmy kontakt. American Airlines i jeden z Lufthansy. – Naukowiec wszedł wojskowemu w słowo.

- To pierwsze objawy. Słońce wyrzuciło w naszą stronę ogromną kulę naładowanego gazu. Istnieje ogromne niebezpieczeństwo zniszczenia układów energetycznych kraju.

- Jak w Quebecu^{4?} – Domyślnie zapytał sekretarz skarbu.

- Nie – zachnął się Hendon – nie jak w Quebecu. Zjawisko, o którym mówimy będzie niemal dwukrotnie silniejsze, niż rozbłysk Carringtona sprzed stu pięćdziesięciu lat. – Ostatnie słowa zabrzmiały ponuro, niczym zapadający na sali wyrok. Prezydent zdecydował się wkroczyć, rozwiać poczucie bezradności i niezrozumienia, które zasiał naukowiec. Spoglądając na trzymany w dłoni kieliszek z odrobiną martini, lekkim tonem zapytał.

- Cóż zatem będzie efektem tego zjawiska? Usmaży się parę satelitów, w kilku domach zgaśnie prąd? Nie będziemy mieli problemu z przyrostem naturalnym. – Śmiech głowy państwa pobudził salwę nerwowej radości doradców. Twarz naukowca pozostała ściągnięta i bez wyrazu.

- Niechże pan powie doktorze, nie trzyma nas w niepewności. – Prezydent wziął milczenie naukowca za objaw tremy. Poczul się winny i poklepał go dobrodusznie po ramieniu. Hendon przez chwilę zbierał się w sobie. Widział, że żaden z obecnych w gabinecie, nawet kolega, witający go przy wejściu, nie zdaje sobie sprawy z sytuacji. Dziwnie, a zarazem strasznie, zabrzmiały w ustach naukowca słowa, którymi uraczył zebranych.

- Straty będą całkowite. Nagła zmiana pola magnetycznego spowoduje indukowanie prądu w sieciach energetycznych i zwykłych kablach. Urządzenia elektroniczne przestaną działać. System GPS zniknie, gdy satelity spłoną w atmosferze. Ta burza cofnie nas w rozwoju przynajmniej dwieście lat.

- Awaryjne źródła zasilania? – Generał odzyskał moc głosu, ale jego teza została brutalnie zmiażdżona przez ponurą wypowiedź Hendona.

- Niestety, obliczenia wskazują, że prąd będzie się indukował nawet w stosunkowo niewielkich obwodach. Nigdy dotąd nie spotkaliśmy się z czymś takim.

- Co pan zatem radzi? – Prezydent słuchając wypowiedzi naukowca spoważniał i wziął w smagłą dłoń poznaczoną siatką zmarszczek zdjęcie zrobione przez satelitę. Nitki plazmy rozwijające się w przestrzeni prezentowały się imponująco. W

świetle tego jednak, co usłyszeli, wyglądały jak złowieszcze szpony sięgające w stronę odległej Ziemi.

- Żadnego Air Force One⁵. Mój zespół sądzi, że część baz podziemnych przetrwa w miarę nienaruszonym stanie. Ma pan około osiemnastu godzin na ukrycie się. Na godzinę przed uderzeniem chmury plazmy otrzymamy informację o jej polaryzacji i przybliżonej mocy za pośrednictwem satelity ACE. Potem zapadnie mrok... . – Hendon zawiesił głos, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą, jak gdyby chciał ich upewnić, że jego przepowiednia się sprawdzi. Tylko generał wytrzymał jego zimny wzrok. Wydawało się, że to właśnie do niego naukowiec powiedział.

- Możemy spróbować wyłączyć wszystkie elektrownie. Być może ocaleje choć część oprzyrządowania – odruchowo zerknął na stoper, który włączył na odliczanie wsteczne w momencie, gdy z hiobową wieścią zadzwonił Larry. Wskazywał na niespełna szesnaście godzin. Czas uciekał bezpowrotnie...

ROZDZIAŁ I ZORZA POLARNA

Chłodny świt wstawał ospale. Smugi mgieł, wyganiane przez pierwsze, nieśmiałe promienie słoneczne, powoli nikły. Na wąskiej ulicy pojawiły się samochody. Zaspani, w wielu przypadkach niemal półprzytomni ludzie, podążali jak co dzień do pracy. Ruch powoli narastał, w miarę jak Słońce wznosiło się coraz wyżej. Zapowiadał się przepiękny poranek.

W pobliżu czynszowej, odrapanej kamienicy warknął silnik starego, wysłużonego Opla. Zielony samochód, porysowany i brudny, powoli wytoczył się na drogę. Tuż obok przemknął niski sportowy Nissan. Zatrąbił krótko, jak gdyby chciał sobie zarezerwować całą szerokość asfaltowej wstęgi. Znikł za zakrętem, pędząc z obłądną, jak na tak wąską ulicę, prędkością. Kierowca Opla, który wyszedł z wozu, by zamknąć za sobą niską, metalową bramę, pokręcił głową. Ruszył śladem szaleńca, spokojnie i bez pośpiechu. W radiu pamiętającym lepsze czasy cicho grała muzyka, pozytywnie nastrajając mężczyznę. Krótki odcinek pomiędzy domem a przedmieściami przebył w niespełna dziesięć minut. Zegar widoczny przy prędkościomierzu bezlitośnie wskazywał szóstą pięćdziesiąt pięć. Nie było szans by zdążył na czas do pracy. Wzruszył ramionami, nie zmieniając monotonnego tempa jazdy. Gdy zatrzymał się na czerwonym świetle, jako piąty czy szósty w kolejce, zegar pokazał siódmą godzinę. Niemal jednocześnie w kieszeni na piersi rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Łamiąc przepisy, leniwie sięgnął po jazgoczącego smartfona i odebrał rozmowę.

- Panie Marcinie, jest pan już w pracy? – W słuchawce rozległ się kobiecy, nerwowy głos. Fonię zakłócały trzaski, niczym w steranej płycie adaptera. Rozmówczyni nie dała kierowcy dojść do głosu, perorując podniesionym tonem – nie działa poczta elektroniczna i system ewidencyjny. Gdzie się pan podziewa?

- Jestem jeszcze w drodze – mówiąc, mężczyzna kątem oka dostrzegł zmianę koloru świateł. Przycisnął telefon ramieniem i nieporadnie przełączył bieg. Ruszył na moment przed tym, jak kierowca z tyłu nacisnął klakson.

- Droga była oblodzona i oczywiście drogowcy nie byli w stanie uwierzyć, że nawet w maju mogą zdarzyć się poranne przymrozki – silnik wył coraz głośniejsze na niższym przełożeniu. Kierowca przerzucił następny bieg. W trakcie tej czynności telefon wypadł mu na podłogę. Chwilę czasu to trwało, nim odszukał go, machając na oślep jedną z dłoni.

- ...halo...co za typ z tego Werockiego – zdołał usłyszeć w telefonie i wszedł kobiecie w słowo.

- Pani Basiu, będę za pięć minut. Zróbcie sobie przerwę na kawę – starał się, by jego głos brzmiał rześko, aczkolwiek odczuwał brak kofeiny w żyłach.

- Chwilę po wejściu? – Kobietę zamurowało.

- W takim razie zróbcie prasówkę – zirytował się kierowca – za dziesięć minut załatwię ten problem. A na razie się rozłączam. Nie mam ochoty płacić mandatu... – Nim kobieta zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, wyłączył się. Odrzucił telefon na puste siedzenie pasażera i uśmiechnął się w zamyśleniu. Kierowniczka działu magazynowego od dawna działała mu na nerwy. Dzisiejszy

dzień, choć częściowo zrekompensował mu ustawiczne utarczki w pracy. „Akurat będą korzystać z emaila. Z rana i tak zawsze siedzą na portalach informacyjnych” pomyślał z przekąsem, skręcając do firmy. Minął radiowóz mrugający niebieską poświatą. Policjant z drogówki szedł w stronę zatrzymanego mercedesa. W dłoni trzymał alkomat. Marcin odruchowo zwolnił i skręcił wprost na firmowy parking. Dopiero wyłączając zapłon zorientował się, że radio przestało grać w połowie trasy. Wzruszył ramionami zamykając drzwi. Sprzęt elektroniczny, podobnie jak samochód, nie domagał się, a wręcz krzyczał o wymianę. Spojrzał na dwupiętrowy gmach i westchnął głęboko. Czekał go ciężki dzień...

*

Klimatyzacja ciężko pracowała w serwerowni, starając się w silnym, majowym słońcu utrzymać dwadzieścia stopni Celsjusza. W rogu szumiała potężna szafa. Przez przezroczyste drzwi, uspokajająco mrugały dziesiątki diod, raportujących ruch w sieci. Naprzeciwko, przy białej, wyblakłej ścianie stał szeroki stół, a na nim rozbebeszony komputer. Marcin nachylał się nad nim, siłując się z śrubami mocującymi płytę główną starego peceta do obudowy. Śrubokręt był stanowczo za mały i łeb śruby zaczynał się szczyrbić. Mężczyzna napiął mięśnie, aby jednym ruchem uporać się z przeszkodą, gdy głośno zabrzmiał dzwonek służbowego telefonu. Ręka trzymająca narzędzie drgnęła, a ostrze śrubokrętu przeorało drukowane ścieżki tuż przy podstawie procesora. Zaklął pod nosem i odrzucił narzędzie. Z przesadnym zamachem sięgnął po telefon, podniósł słuchawkę i zapytał „jadowitym” tonem.

- Cóż takiego ważnego się stało? – W myślach przeleciał mu stek najgorszych przekleństw, gdy usłyszał drżący, zestresowany głos stażystki.

- Panie Werocki, nie wiem, czy powinnam... – Niepewnie wypowiedane słowa natychmiast zostały zablokowane przez złośliwą kontrę Marcina.

- Jak pani ma osiemnaście lat, to już pani powinna, oby tylko z właściwym facetem – zemścił się za zniszczoną płytę główną komputera. Teraz dodał już spokojniejszym tonem.

- Czy to coś ważnego? Ja tu naprawdę mam co robić! – Mówiąc to, mężczyzna słyszał w tle przyciszone szepty koleżanek. Nie bez powodu większość damskiej obsady go unikała. Telefon do złośliwego informatyka był heroizmem dla sporej części kobiet w firmie.

- No...właśnie – młodzianka dziewczyna, przyjęta bezlitośnie przez trzydziestolatka zaczęła się jąkać. – telefon...znaczy się...komórka...nie działa. – Stażystka odetchnęła głęboko i wzięła się w garść kończąc niezgrabny raport.

- To...znaczy działa, ale prawie nic nie słychać. – Powietrze w serwerowni przeszył nagły trzask wyładowania elektrycznego. Plastikowa obudowa stojącego pod ścianą UPS⁶ spuchła, jakby była z plasteliny. Z powstałych szczelin zaczęły się snuć smużki czarnego, śmierdzącego dymu.

- Zaraz tam u was będę. – Warknął w słuchawkę mężczyzna i jednym ruchem wyciągnął przewód zasilający tłącego się UPS-a. Chwycił dymiące urządzenie i podniósł je w górę jak piórko, mimo że ważyło ponad cztery kilogramy. W kilka chwilk

wybiegł przed budynek i postawił skwierczące pudło pod starą, przerdzewiałą siatką. Cofnął się kilka kroków i zrobił to w samą porę. Przęd obudowy, wykonany w całości z tworzywa sztucznego wystrzelił kilka kroków naprzód, uderzając w zderzak jednego z wielu zaparkowanych aut. Części rozerwanego akumulatora rozsypały się przed elektryczną bombą, w jaką zamienił się UPS.

- Dziś nie sylwester panie Marcinie, nie pora na fajerwerki – odezwał się zachrypnięty, przepity głos firmowego kierowcy, który wyłonił się zza węgła trzymając w ręku dymiącego papierosa.

- A jakże panie Zdzisiu, a jakże... – Informatyk uśmiechnął się do pięćdziesięciolatka szeroko. Zaczerwieniona twarz kierowcy wskazywała na znaczny nadmiar wypitego alkoholu.

- Próby czynią mistrza. – Dodał z przekąsem Marcin spoglądając na osmalone pudło.

- Zerknie pan na to? Ja muszę iść na górę – na prośbę Werockiego, kierowca ospale pokiwał potakująco głową mrużąc

- Się rozumie, nikt tego nie podprowadzi... – Ton głosu wskazywał, że albo pan Zdzisio jeszcze nie wytrzeźwiał po wczorajszym dniu, albo już zaczął leczyć się klinem... . Marcin nie miał ochoty tego roztrząsać. Ze słowami.

- Ma pan u mnie browara! – Pogonił na pierwsze piętro, mijając dwóch czy trzech interesantów, karnie siedzących przed drzwiami do działu marketingu. Nacisnął klamkę ostatnich drzwi długiego korytarza i wszedł, koncentrując na sobie spłoszone spojrzenia obecnych tu kobiet. Siedziały skupione razem, przy długich biurkach ustawionych na środku obszernego

pomieszczenia. Niemal z lękiem w oczach spoglądały na przybysza. Ten jednak postanowił być wspaniałomyślny.

- Telefon proszę – pstryknął palcami. Stażystka, niska i krępa dziewczyna, ledwie mające dwadzieścia lat, podała mu pachnącą świeżością komórkę. Nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Całą uwagę skupił na urządzeniu. Szybko sprawdził zasięg i działanie telefonu. Następnie, z triumfalną miną wystukał numer do sekretariatu i przyłożył komórkę do ucha. Chwilę czekał na połączenie. Usłyszał jak ktoś odbiera telefon i w słuchawce zatrzeszczało.

- ...ariat...- Rozmowa została gwałtownie zakończona. Zdziwiony spojrzął na trzymane w ręku urządzenie, jakby mogło mu odpowiedzieć na pytanie czające się w oczach.

- Zupełnie nowy telefon.- Mruknął pod nosem, bardziej do siebie, niż do zebranych kobiet. Jednym ruchem schował go do kieszeni i oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Ta bestia pojedzie na gwarancję. Panie muszą sobie poradzić z pogaduszkami bez komórki. Tylko stacjonarka. – Z tymi słowy opuścił pokój. Kobiety spojrzały na siebie. Jak na Marcina, to obeszło się całkowicie bezboleśnie. Informatyk nie przeszedł nawet dziesięciu kroków na korytarzu, gdy usłyszał za sobą głos kierownika działu kadr.

- Panie Marcinie, co z tymi telefonami? Siadły wszystkie łącza – w głosie mówiącego brzmiało zdziwienie, gdy dodał.

- Niech mnie pan poprawi, jeśli się myłę, ale przecież mamy nową centralę, skąd więc ta awaria? – Kierownik na poparcie słów wzruszył bezradnie ramionami. Marcin miał wiele

sentymentu dla tego starszego, siwiejącego już mężczyzny. Podszedł do niego lekkim krokiem i z uśmiechem na twarzy uspokoił go.

- Niech pan się nie przejmuje, panie Leonie. Czwarta za pięć minut, więc już czas na fajrant. Będę wracał do domu, to zgłoszę awarię w siedzibie telekomunikacji. Przyjadą monterzy, załatwią temat w godzinę. Szkoda nerwów. – Ucisnął wychudłą, pokrytą zmarszczkami dłoń kierownika.

- Miłego popołudnia panie Leonie.

*

Ekran monitora oświetlał twarz mężczyzny, wyświetlając dziesiątki linii kodu. Dla postronnego obserwatora był to bezładny zbiór liter i cyfr. Dla Marcina, szczyt poezji i uporządkowania. Nie przepadał za ludźmi, właśnie przez ich chaotyczność. Program, obojętnie jak bardzo skomplikowany, był uosobieniem porządku. Każda linia, każda komenda pełniła określoną, ściśle przewidzianą rolę. Ewentualny błąd był skazą, którą można było usunąć albo poprawić. Wprowadzając zmiany w jednej z funkcji warunkowych, Marcin uśmiechnął się do swoich myśli - „Gdyby tak można było poprawić umysł takiej stażystki. Przeprogramować na normalne zainteresowania i jeden typ humoru przez cały miesiąc.” Poczul znużenie. Siedział przy klawiaturze od przeszło czterech godzin, toteż stwierdził, że najwyższy czas na przerwę. Przeciągnął się na krześle i wstał, rozprostowując zdrętwiałe nogi. Wtedy z jakimś zdziwieniem zorientował się, że za oknem wciąż jest jasno. Zamrugał oczami, bezwolnie spoglądając na zegar w górnym rogu ekranu. Wskazywał na grubo po dwudziestej drugiej.

Z zaciekawieniem odchylił zasłonkę i zamarł urzeczony widokiem rozgrywającym się na niebie. Zazwyczaj było czarne, co najwyżej upstrzone gwiazdami. Tym razem rozjaśniała je zorza. Czerwonozielone barwy przechodziły w błękit i fiolet. Natura zafundowała nieziemski widok mieszkańcom średnich szerokości geograficznych w takiej palecie, jakiej nie dostarczało nawet za kołem podbiegunowym. Widok zapierał dech w piersiach. Błękitno fioletowa poświata na podobieństwo skrzydła anioła wyginała się nad widnokręgiem, drgając, zmieniając się niczym żywa rzeźba. Wtórowały jej znacznie wyżej pojawiające się zasłony skrzące się czerwienią. Marcin otworzył okno i wychylił się. Mieszkał na pierwszym piętrze kamienicy i miał doskonały widok na podwórze. Stało tam kilka osób. Nikt nie zwrócił uwagi na otwarte okiennice. Wszyscy wpatrywali się w niebo. Gdzieś w oddali rozległ się trzask elektrycznego wyładowania. W oddali, nad słupem wysokiego napięcia pojawiła się iskra łuku elektrycznego. Trwała nie dłużej niż ułamek sekundy, niczym monstrualna lampa błyskowa. Chwilę później, znacznie bliżej zabłyśł słup, zawierający transformator niskiego napięcia. Okolicę zalało przeraźliwie białe światło, odrywając uwagę zebranych od wspaniałego przedstawienia na niebie. Iskry z eksplodującej skrzyni wzniosły się łukiem nad zgromadzonymi ludźmi i zgasły razem ze światłami wokół. Na przewodach elektrycznych pojawiły się roje błysków białego światła. Marcin odskoczył od okna. Z palców, ku metalowej klamce poleciały iskry ładunku statycznego. Na jego oczach ekran komputera zabłyśł rozpaczliwie jasnym światłem, zgasł i zaczął dymić. Ukryte w obudowie komputera

twarde dyski, zaczęły wyć rozpaczliwie obracając się znacznie szybciej niż to było dopuszczalne. Prąd indukowany w obwodach przez burzę magnetyczną przepalał je z głośnym traskiem. Z kuchni snuł się dym z płonących izolacji kabli elektrycznych. Jedno z wyładowań sięgnęło Marcina. Zupełnie się tego nie spodziewał. Uderzenie prądu zadziało jak paralizator, pozbawiając go przytomności.

ROZDZIAŁ II NOWY ŚWIAT

Otworzył oczy. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Przesunął prawą dłoń na pierś, która nadal go piekła po trafieniu elektrycznego wyładowania. Cienka tkanina koszuli zwęgliła się od uderzenia prądu. Przesunął dłoń w górę, wyczuwając zaschniętą krew na czole. Upadając musiał się uderzyć. Pod palcami wyczuł wąską ranę nad prawą brwią. Oparł się na łokciach i powoli, ociężale podniósł się z miejsca. Czuł wszystkie kości, jakby całą noc ktoś metodycznie oklepał go kijem. Rozejrzył się po pokoju. Komputer, a raczej jego żalosne, stopione resztki już nie dymiły. Przez uchylone okno wpadało świeże, poranne powietrze przesycone wilgocią. Rozchylił okiennice na całą szerokość i wyrzwał, opierając się obiema dłońmi o parapet. Musiało być już grubo po ósmej. Na podwórzu kamienicy nie było nikogo. Wyobrażając sobie monolog kierownika kadr, „...znowu pan się spóźnia... jak ja to wytłumaczyć?..” zaczął szukać komórki. „Tak, musi się tłumaczyć...” Marcin wykrzywił pogardliwie usta – „nie chce ryzykować konfliktu i tyle...”. Odnalazł telefon i ze zdumieniem stwierdził, że brak jest sporego fragmentu w miejscu gdzie zazwyczaj była bateria. Rozdarta plastikowa obudowa wyglądała tak, jakby w środku eksplodował miniaturowy ładunek wybuchowy. Jego wzrok padł na Nokię, którą wziął do naprawy. Uszkodzenie dotyczyło karty pamięci, nie przeszkadzało w prowadzeniu rozmów. Kilkoma szybkimi ruchami przełożył osmaloną kartę sim do telefonu, założył baterię i osłonę obudowy. Nacisnął włącznik. Ku jego uldze ekran Nokii zaświecił się,

witając ekranem startowym. Chwilę czekał na uruchomienie systemu, myśląc nad tym, jak nie stracić dnia urlopu. Na ekranie telefonu dostrzegł brak zasięgu. Dopiero teraz zorientował się, że nie słyszy samochodowych silników z pobliskiej ulicy. Odkąd tu mieszkał, nie pozwalały mu się wypaść nawet w sobotę. Teraz panowała cisza. Wysunął dłoń z telefonem za okno. Obserwował w niemym zdziwieniu, wskaźnik zasięgu, który nie drgnął nawet na moment. Wzruszył ramionami i wsunął telefon do kieszeni. Nie myśląc wiele, zrzucił koszulę. Zwęglone fragmenty z cichym trzaskiem oderwały się od rany, powodując ból. Zaklął po nosem i ruszył do łazienki, wyciągając po drodze świeżą koszulę i bieliznę z szafy. Pstryknął przełącznikiem przy wejściu do „ślepego” pomieszczenia, ale łazienka pozostała ciemna. Odkręcił kran, ale ten tylko zasyczał smętnie.

- Jak już pech, to na całego – Zamruczał pod nosem – do diaska – sięgnął po dezodorant, aby choć w części zabić przykry zapach wczorajszego potu i narzucił świeżą koszulę. Mimo tego, że z braku wody nie mógł się odświeżyć, zmiana ubrania wpłynęła nań orzeźwiająco. Czuł suchość w ustach i przypomniał sobie wczorajszą kawę, wciąż stojącą na biurku. Chwycił filiżankę w przelocie, wypił jednym haustem brunatną ciecz o mało przyjemnym smaku. Zostawił naczynie w pokoju, chwycił klucze i wyszedł na korytarz. Zamek zgrzytnął zamykając dostęp do mieszkania. Wąska klatka schodowa śmierdziała wilgocią. Bez zbędnej zwłoki, zbiegł po nich z głuchym dudnieniem. Zmrużył oczy, wybiegając na podwórze, gdy uderzyło go jasne, słoneczne światło. Było nienaturalnie cicho, chociaż nie zwrócił na to uwagi.

Podszedł do swego wysłużonego opla i wsiadł. Drzwi zamknął z trzaskiem, wsuwając jednocześnie kluczyk do stacyjki. Przekręcił go i... nic się nie stało. Rozrusznik nawet się nie zająknął. Zacisnął zęby próbując ponownie. Bez skutku. Zamknął oczy i odchylił głowę biorąc drugi i trzeci, głęboki wdech. Otworzył oczy i wpatrując się w starą, wytartą podsufitkę wycedził przez zęby.

- Kurwa mać! – To już nie wyglądało na zwykłego pecha, raczej na piątek trzynastego i godzinę trzynastą trzynaście. Wysiadł z impetem, wymierzając kopniaka tylnej oponie. Podniósł wzrok i zastygł w bezruchu, spoglądając na fronton starej kamienicy, w której mieszkał. Wzdłuż muru, tam, gdzie pod tynkiem biegły przewody elektryczne, widniały wąskie, czarne linie. W jego głowie zaczęła kołatać niepokojąca myśl. Ledwie uchwytana, nabierająca jednak kształtów z każdą chwilą. Drżącą dłonią pociągnął za uchwyt otwierający pokrywę silnika. Ta uchyliła się z jęknięciem starych sprężyn. Jednym ruchem ręki podniósł powgniataną osłonę. W milczeniu spoglądał na ślady popalonych, zwęglonych przewodów i osmalone gniazda bezpieczników. Jego wzrok powędrował w górę, wzdłuż słupa starej latarni i spoczął na szerniałej żarówce. Nagły skok napięcia dosłownie stopił mostek i żarnik. Na Nokii, którą wyciągnął z kieszeni wciąż nie pojawiała się nawet pojedyncza kreska zasięgu. Wyłączył aparat i usiadł w samochodzie, pozostawiając otwarte drzwi. W myślach zaczął łączyć wczorajsze widowisko z aktualnym stanem sieci elektrycznej w budynku. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że podobne linie wypalonych przewodów widział w swojej kawalerce. Otworzył schowek w samochodzie i

w milczeniu spoglądał na wypełniające go drobiazgi. Wśród nich, staromodną latarkę działającą na zasadzie dynamy i duży składany nóż. Zazwyczaj używał go do cięcia kabli, czasem w zastępstwie śrubokręta. Teraz z uwagą obejrzał wyszczerbione ostrze. Miał nadzieję, że się myli, co do zasięgu awarii. Jeśli obejmowała całe województwo.... Albo kraj. Wzruszył ramionami, pocieszając się w myślach – „...ostatecznie ziemskie pole magnetyczne to nie byle co...”. Wysiadł, odruchowo zamykając samochód. Nóż i latarkę schował do kieszeni. Mając trochę pieniędzy w kieszeni stwierdził, że kupi w sklepie nieco żywności. Tak, by te kilka najgorszych dni przeczekać w spokoju. „ – a dla kadr, załatwię sobie zwolnienie na to oparzenie...” – W znakomitym humorze przeszedł przez opustoszałą ulicę, wprost do niewielkiego sklepiku, gdzie z rana zawsze kupował bułki. Oklejone reklamami drzwi nie zmieniły się ani na jotę. Podobnie jak znudzona mina starszej, otyłej kobiety, sprzedającej tu od zawsze. Rozpoznawszy starego klienta obdarzyła go swoim słynnym na całą ulicę „uśmiechem numer dwa” – niedbałym wykrzywieniem ust i ukazaniem niepełnego uzębienia. Ubóstwiały ją rzesze drobnych pijaczków, których wpisywała „na zeszyt” i wieczne nieoddanie. Chociaż jej sposób bycia był najczęściej opryskliwy, w gruncie rzeczy była dobrą osobą.

- Późno dziś wstaliśmy – burknęła zjadliwie, podchodząc do lady, ociężałe kołysząc się na boki.

– Małe co nieco w nocy? – Zapytała, domyślnie przesuwając krawędzią dłoni wzdłuż czerwonej szyi.

- Zdecydowanie – mruknął w odpowiedzi, zastanawiając się nad asortymentem. Bez zmruczenia oka zaczął wymieniać, nie zająknąwszy się ani razu. Ekspedientka z niejakim zdziwieniem podawała mu kolejne produkty, patrząc, jak zaczynają się piętrzyć po drugiej stronie.

- Mam nadzieję, że ma pan ze sobą forszę na to wszystko. Przez ten cholerny brak prądu nie ma jak zapłacić kartą. Wcześniej niż po południu pewnie go nie włączą. – W głosie kobiety brzmiała autentyczna troska. W odpowiedzi mężczyzna wyciągnął portfel i wyłożył niemal sześćset złotych. Mimo tego, że nie był ułomkiem, stęknął podnosząc cztery plastikowe torby. Podziękował skinieniem głowy.

- Synku, pozdrów rodzinę. Widać, że sam dziś jeść nie będziesz... – Żegnany zaskakująco ciepłym tonem głosu sprzedawczyni wytoczył się na zewnątrz. Nawet nie chciał myśleć, jak uregulowałby rachunek gdyby nie planowany remont starego samochodu. Szedł o zakład, że w mieście nie działa żaden bankomat. W portfelu zostało mu może ze sto złotych, ale w torbach dźwigał prowiant i wodę przynajmniej na tydzień. Gdy dotarł do swojego mieszkania był u kresu sił. Pomyślał, że kondycji nie ma za grosz. „Do pracy i z powrotem samochodem. Czasami człowiek pobiegł po schodach”. I tyle, jeśli chodzi o ruch. Spojrzał krytycznie na swój brzuch, wystający znacznie dalej od standardu przewidzianego dla jego wzrostu. On też miał swój udział w szybkim urywanym oddechu i sercu walącym jakby miało wyskoczyć z piersi. Zamknął drzwi i zatargał zapasy do kuchni, tym razem biorąc po jednej torbie. Przez jedną, krótką

chwile zastanawiał się nad tym, aby wziąć rower i jednak podskoczyć do pracy. Szybko jednak przepędził tę niezbyt kuszącą myśl. Zwolnienie mógł dostarczyć w ciągu dwóch – trzech dni bez zbytniego ryzyka. „Dziś czas na relaks” – dziwne, ale myśl, że nie będzie korzystał z komputera, wpłynęła na Marcina kojąco.

Z pewnym wahaniem sięgnął po czytnik ebooków i włączył go. Leżący obok kabel USB był na wpół zwięglony, ale samo urządzenie działało bez zarzutu. Wziął jedno z kupionych piw i położył się na szerokim łożu, zatapiając się w lekturze.

Czas mijał leniwie, a alkohol, zazwyczaj rzadko pity przez Werockiego, spowodował senność. Mężczyzna zasnął, nie wiedząc kiedy. Dzień powoli mijał. Nadchodzący mrok przyniósł chłód, który obudził Marcina. Czując gęsią skórę, zarzucił na siebie stary sweter, zrobiony ręcznie jeszcze przez nestorkę rodu Werockich. Poczłapał do kuchni, natykając się na wielką kałużę wody. Stał w drzwiach, patrząc na krople kapiące spod zamkniętych drzwi lodówki, mając ochotę kopnąć się w zadek za głupotę. Brak prądu oznaczał rozmrożenie starego, rachitycznego sprzętu AGD, który w środku miał miniaturowy biegun północny. Oprócz kilku produktów, najczęściej nie pierwszej świeżości, były tu zawsze kilogramy lodu. Już miał otworzyć drzwi, ale do głowy wpadł mu pewien pomysł. Z łazienki wyciągnął miskę. Choć część wody uwięzionej w lodówce się rozlało, to jednak złapał jej na tyle, by się umyć. Spłukując z siebie dwudniowy brud, poczuł się rześko, niemal jakby spał dwanaście godzin. Na zewnątrz była już niemal noc. Gwiazdy świeciły jasno, jak nigdy wcześniej, a jednak dookoła panowały głębokie ciemności. Z niewytłumaczalną dla

siebie obawą, spoglądał przez wciąż otwarte okno. Okoliczne budynki ledwie rysowały się w mroku. Zazwyczaj narzekał na poświatę, utrudniającą sen. Stąd wykosztował się na żaluzje, odcinające światło nocnych latarni. Teraz, gdy spełniło się jego marzenie o idealnych warunkach do zaśnięcia, nie czuł się bynajmniej zadowolony. Nagle przyszło mu do głowy, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co on, że nie każdy miał większą gotówkę w portfelu.

Zaczął się zastanawiać, co może się stać, jeśli służby nie przywrócą zasilania. Jeśli przestanie funkcjonować transport. Stan jego własnego samochodu dawał wiele do myślenia. „A gdyby tak wszystkie ciężarówki miały usmażone przewody?”, Pytania i odpowiedzi w głowie Werockiego krążyły z szybkością błyskawicy. Umysł programisty, przyzwyczajony do rozwiązywania problemów, nie chciał odpoczywać. Snuł przewidywania dalszego rozwoju wydarzeń, kolejne dni nie zapowiadały się wesoło, choć Marcin bardzo chciał się mylić. Podeszedł do okna i spojrzał na wyludnione podwórko, skąpane w księżycowym świetle. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Bez transportu, bez żywności, ba, bez wody... . Chwycił się kurczowo ostatniej myśli. To dlatego czuł niepokój. W rogu podwórka stała stara pompa osadzona na dawnej studni. Mieszkańcy korzystali z niej czasem, gdy chcieli umyć samochody albo do podlewania ogródka. W okolicy nie widział drugiej takiej. Wyobraził sobie przez chwilę, co się stanie, jeśli wiadomość o źródle się rozniesie. Walkę, może nawet na śmierć i życie. O wodę, którą jeszcze przedwczoraj mógł kupić za niecałą złotówkę.

Już po dwóch dniach widział, jak bardzo jest istotna. „Noc, czy nie noc, trzeba zabezpieczyć pompę” – mruknął do siebie. Narzucił na grzbiet starą, szarą kurtkę. Wszedł cicho na ciemny korytarz. W kieszeni tkwił składany nóż. To dodawało mu nieco odwagi. Stąpił po schodach w dół, powoli, stopą wyszukując kolejne stopnie. Dopiero na wysokim parterze przez okna klatki schodowej wpadało nieco bladej, księżycowej poświaty rozjaśniając mrok. Ku swojemu zdumieniu dostrzegł uchylone drzwi wejściowe. „Cholerne głupki” - wyzwisko zaadresował w myślach do sąsiadów, niedbających w ogóle o wspólne bezpieczeństwo. Cóż znaczą teraz drzwi poszczególnych mieszkań? Co innego, solidne metalowe, nieomal wrota tkwiące w klatce schodowej. Wysunął się na zewnątrz i przystanął zaskoczony. Przy pompie stał jeden z sąsiadów, mieszkających na górze. Kończył usuwać śruby mocujące pompę do podłoża, poluzowane zapewne w ciągu dnia. Żaden odgłos nie zdradzał demontażu. Dostrzegłszy ciemny kształt postaci sąsiad uniósł w górę klucz francuski i ruszył do ataku. Werocki uniósł otwarte dłonie w obronnym geście mówiąc szybko.

- To ja sąsiedzie, spod ósemki... – Atak zatrzymał się w pół drogi. Z ciemności dobiegł bas niskiego, krępego bruneta.

- Chłopie, uważaj, bo tu łatwo o pomyłkę - w mroku zabłysły oczy mówiącego – w sumie dobrze, że tu jesteś, pomożesz mi zamaskować studnię. – Razem uporali się z pracą błyskawicznie. Głęboką cembrowinę przykryły szerokie, betonowe płyty. Zlani potem, mimo nocnego chłodu, spoglądali na swe dzieło z zadowoleniem. Nawet gdyby ktoś stanął bezpośrednio na

studni, nie byłby w stanie zorientować się, co jest pod nogami. Długi czas, w milczeniu rozglądali się wokół. Nikt nie zaobserwował prac na podwórzu. Grubo po północy obaj znikli za drzwiami wejściowymi, blokując je solidnie. Nie rozmawiali ze sobą, pnąc się po schodach w górę. Dopiero przy wejściu do mieszkania Werockiego, krępy sąsiad odezwał się grobowym, budzącym ciarki na plecach głosem.

- Bez popeliny, jeśli dorwę jakiegoś szmaciarza przy wodzie, zatłukę jak psa, sąsiedzie. To teraz nasze życie... .

*

Marcin obudził się po niespokojnym śnie. Wielokrotnie budził się w nocy. Podświadomość nie pozwalała mu się wyspać. Wlepił wzrok w biały sufit. Słoneczne światło, ostro padające przez okno zdradzało wczesną porę. Jak daleko sięgał pamięcią, nigdy w życiu nie wstał tak wcześnie. Informatyk hołdował jednej zasadzie - dobrze się wyspać. Podrapał się po zmierzwionych, mokrych od potu włosach. Ociężałe, ze stęknieniem usiadł. Czuł się źle, jakby noc spędził na imprezie. W ustach miał sucho, a głowa pulsowała tęnym bólem pojawiającym się zawsze, gdy wstawał niewyspany. Zastygł w łóżku niczym posąg Buddy. W myślach układał plan dnia. Nie zapowiadał się dobrze. Dwa kilometry do przychodni, dziesięć kilometrów rowerem do firmy, by podrzucić zwolnienie i dziesięć z powrotem. Zapowiadał się prawdziwy kolarski wyczyn, zwłaszcza jak na jego aktualną formę. Wstał i poczłapał do ciemnej łazienki. Nie silił się nawet na zapalenie pojedynczej świeczki ustawionej na lustrze. Ukłękł przy wiadrze przyniesionym w nocy i z ulgą spryskał twarz lodowatą

wodą. Zimno działało niczym kofeina. Poczul się znacznie lepiej. W kilka minut założył spodnie i patrząc na bezchmurne niebo, z pewnym wahaniem założył na siebie flanelową koszulę w kratę. Działanie wprawiło mężczyznę w dobry humor. Gdy zamykał drzwi na klucz, zaczął sobie pogwizdywać wesołą melodię. Z piwnicy wydobył rower, odkupiony niegdyś od kolegi z pracy. Nie przedstawiał zachęcającego widoku, pokryty wieloma warstwami kurzu. Opony, o dziwo – trzymały ciśnienie. Skrzywił się z niesmakiem na myśl o podróży. Przetarł siedzisko i z głębokim westchnieniem ruszył, nabierając prędkości. Już po pięciu minutach na czole rowerzysty pojawił się pot. Jechał wzdłuż pustej ulicy, czując przyspieszone bicie serca. Podjeżdżał pod lekką górę, której nigdy wcześniej nie zauważał, przemykając samochodem w kilka sekund. Dopiero teraz czuł w mięśniach, ile ma wysokości. Każde kolejny obrót zębátky łańcucha był wolniejszy, ale zaparł się i dotarł na górę, nie schodząc z roweru. Przystanął dopiero na szczycie i zatrzymał się. Zaskoczony ogarnął wzrokiem przestrzeń przed sobą. Na głównej czteropasmowej ulicy miasta, w nieregularnych odstępach stały samochody w różnym stanie. Na wprost widniał miejski autobus, wkomponowany w barierkę. Popękane przednie szyby od wewnątrz pokryte były rdzawymi plamami zaschniętej krwi. Nigdzie nie widział ciał. Dostrzegł za to pojedyncze postaci, zapewne właścicieli unieruchomionych pojazdów, snujące się w świetle poranka. Z jakiegoś powodu widok, zastygłej w bezruchu ulicy budził w informatyku głęboki niepokój. Nacisnął na pedały i patrząc przed siebie ruszył z górki, przyspieszając. Już po kilku minutach skonstatował, że nie mogła

być zbyt wysoka. Nie nabrał specjalnie dużego rozpędu, a już musiał zacząć porządnie pracować nogami. Minął jakąś starszą kobietę, powoli idącą w swoim własnym kierunku, stukającą łaską w betonowe płyty chodnika. Gdyby nie ulica zastawiona samochodami, wszystko wyglądałoby normalnie. Już z daleka dostrzegł niski budynek przychodni, stojący wśród zieleni drzew. Ku swojemu zdumieniu, zauważył wijącą się węzowato kolejkę ludzi w różnym wieku. Tego się nie spodziewał. Stało tam ze sto osób. Pech prześladował go w dalszym ciągu. „Załatwię sobie zwolnienie, jak będę wracał. Teraz tylko zgłoszę nieobecność” uspokoił sam siebie i od razu poczuł się lepiej. Na samą myśl, że będzie musiał stać wraz z całym tym tłumem, od razu dostawał gęsiej skórki. Łagodnym łukiem ominął ludzkie skupisko i odprowadzany ich wzrokiem znikł za rogiem. Minął zamknięty na cztery spusty hipermarket. Zakodował sobie w pamięci jego lokalizację i nabrał większej prędkości, w czym wydatnie pomogła lekka pochyłość drogi prowadzącej do firmy. Wyrzucał z głowy myśl o komforcie powrotu pod tą górę. Przestał zwracać uwagę na upiorne samochody stojące bez ładu i składu wzdłuż mijanych ulic. Liczyło się tylko dotarcie przed ósmą do zakładu. Gdy dostrzegł daleko z przodu zwalisty budynek, poczuł ulgę. Nim jednak tam dotarł, umęczony się okrutnie. Dwie ciemne plamy potu, z przodu i z tyłu wyraźnie świadczyły o tym, że właśnie osiągnął szczyt możliwości. Sapiąc niczym lokomotywa parowa, wtoczył się na opustoszały parking, dostrzegając ku swojemu zdziwieniu radiowóz policyjny. Zsiadł z roweru, czując każdy mięsień, a najbardziej pośladki. Pałyły go żywym ogniem od twardego,

siedziska. Ręce mu drżały z wysiłku, gdy prowadził rower na miękkich nogach wprost do wejścia budynku. Rzucił okiem na renesansowy zegar słoneczny, umieszczony tu z kaprysu burmistrza. Wskazywał około siódmej rano. Wtoczył się do środka, otwierając uchylone drzwi kołem od roweru. Niemal od razu natknął się na pana Zdzisława. Zaskakiwał jego trzeźwy stan.

- Dzień dobry – mruknął Marcin, wciąż starając się uspokoić serce, bijące jak oszalałe.

- Witam naszego elektronicznego sztukmistrza – chropowaty głos kierowcy niósł się pustymi korytarzami. Błede, zaczerwienione oczy pana Zdzisława otaksowały przybysza.

- Transport rowerowy hę? Niepotrzebnie pan się fatygował, panie Marcinie. Po wczorajszej wizycie policji, szefostwo dało wszystkim dwa tygodnie bezpłatnego urlopu. – Wskazał kciukiem na składany leżak i stolik. Kilka butelek, jakieś jedzenie, dopełniało widoku improwizowanego, jednoosobowego pikniku.

- To co pan tu robi? – Werocki zapytał ostro. W głębi duszy cieszył się jednak z takiego rozwoju sytuacji. Urlop bezpłatny nie stanowił dla niego problemu, trochę pieniędzy zgromadził wcześniej. Dzięki decyzji dyrekcji, nie musiał kombinować ze zwolnieniem lekarskim.

- Ano tłumaczę wszystkim, którzy się tu pojawiają, że mają wracać. – Zdzisław zmrużył oczy. Rozmowa wcześniej rano, bez „kliny” wyczerpywała jego zasoby energetyczne i umysłowe.

- Oprócz pana, zostały te cherlaki z magazynu... – Starszy mężczyzna powlókł się do stolika. Jednym ruchem odkorkował butelkę z czymś podejrzanie ciemnym w środku. Usiadł i jednym

haustem pochłonał co najmniej trzecią część zawartości. Werocki bez wysiłku odczytał z etykiety „Byx”. Wzruszył ramionami i zaczął się cofać, gdy kierowca postawił butelkę z rozmachem, kaszląc głośno.

- Chce pan łyeczka – wskazał brudną dłonią na stolik i wychrypiał z mniejszą werwą.

- Dobrze na trawienie...

Marcin kręcąc przecząco głową wyszedł na zewnątrz. „Na trawienie” pomyślał z przekąsem – „Dobre sobie, akurat potrzeba tylko tego, żeby siarkofrut wypalił mi trzewia albo mózg”. Spojrzał jeszcze na radiowóz i zapytał przez ramię, nie odwracając się.

- A co z tym radiowozem? Ktoś z policji przyjdzie po niego? – Odpowiedziało mu głośne beknięcie, mające być chyba zabawnym wstępem, po czym z głębi korytarza rozległ się „spracowany” głos kierowcy.

- Skąd. Zdupczył się im dwa dni temu. Wczoraj był tu taki jeden, to powiedział, że wróca po niego w przyszłym tygodniu. – Słyszac te wyjaśnienia, Marcin, szedł wprost do serwerowni. Z biciem serca przekręcił klucz w zamku i otworzył osmolone drzwi. Przywitała go całkowita cisza. Milcząc powiódł wzrokiem po zniszczonych komputerach, wysadzonych akumulatorach dużych ups-ów. Ich części leżały wszędzie wokół. Zamknął drzwi z kamienną miną, starając się nie myśleć, ile czeka go pracy po powrocie. Spokojnie wsiadł na rower, uświadamiając sobie, że wciąż obserwują go przekrwione oczy kierowcy. Skrzywił się, czując ból dolnej części ciała.

- Na razie panie Zdżisiu – odpowiedział mu niezrozumiały bełkot. Wyjechał rowerem na drogę, przeklinając każdy metr. Uniósł się lekko na pedałach, zmniejszając nieznośny ból. Kilkanaście minut wystarczyło, aby na ulicy pojawili się ludzie. Z pewnym niepokojem zaobserwował, że targają ze sobą jakieś bagaże. Szczęśliwcy ciągnęli wózki i rowery. Przy kolejnym podróżnym zatrzymał się. Starszy człowiek, trzymający walizkę na kółkach nie zwrócił nań uwagi. Nie dostrzegł zainteresowania Marcina. Informatyk dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że nieznamy po prostu się boi.

- Dokąd idziesz? – Plecy piechura drgnęły. Mężczyzna zgarbił się jeszcze bardziej. Werocki podjechał bliżej i przyjaźnie rzekł.

- Spokojnie, chcę tylko zapytać, gdzie się wszyscy wybierają? – Mężczyzna pochylił głowę naprzód i mruknął, niemal bezgłośnie.

- Nie ma wody, jedzenia. Ja idę do znajomych, na wieś. Ale oni mają mało jedzenia. Dla dwóch nie starczy... – Reszta wypowiedzi utonęła w ciszy. Werocki pokręcił przecząco głową i nacisnął mocniej na pedały. Na stojąco, pracowicie jechał pod górę, starając się nie zwracać uwagi na powiększający się tłum osób kłębiący się na ulicy. Jego niepokój powoli rósł. Właśnie zdał sobie sprawę z tego, ile miał szczęścia, robiąc zakupy w osiedlowym sklepiku. Zjechał na drogę rowerową, wiodącą wprost do ogromnego parkingu hipermarketu. Uznał, że nie zaszkodzi powiększenie zapasów. Kilkadziesiąt osób otaczało przeszklone wejścia do hali. Zazwyczaj sklep był otwarty całą dobę. Wśród

rosnącego cały czas tłumu, co rusz rozlegały się gniewne okrzyki, ktoś potrząsał pięściami. Wreszcie, w stronę drzwi poleciała cegła. Szklana tafla pękła z chrzęstem. Jak na dany znak, w stronę wejścia pofrunął cały grad improwizowanych pocisków. Pod tymi uderzeniami padło szerokie wejście a ludzie z wzmagającym się rykiem ruszyli w głąb ciemnej, nieoświetlonej hali. Marcin z pewnym wahaniem podjechał do samych drzwi i ustawivszy rower za rogiem podążył za tłumem. Wydawało się, że głośny odgłos pękających szyb przywoływał ludzi. Werocki był tu może z raz, czy dwa. Pierwsze półki przy wejściu zastawiały jakieś puszki. Półmrok skrywał resztę. Ze zgrozą uświadomił sobie, że gdzieś z głębi dochodzą go odgłosy uderzeń, razów. Czyjeś jęknięcia i zduszone okrzyki. Ludzie zaczęli walczyć o żywność niczym zwierzęta. Nagle poczuł potężne uderzenie w ramię. Trzymane w prawej dłoni puszki potoczyły się po podłodze.

- Z drogi leszczu! – Zahuczał jakiś dryblas, od niechcienia wymierzając mu cios wielką jak bochen pięścią. Od tak, bez przyczyny. Marcin bezwładnie potoczył się pod półkę. Odruchowo skulił się, oczekując ciosu. Jego oprawca znalazł sobie najwyraźniej nowy cel, bowiem znikł między dziesiątkami półek. Informatyk nie czekał na dalszy rozwój sytuacji. Z najbliższej kasy chwycił kilka toreb i zasypał je puszkami z półki obok. Wyszedł przez rozbite drzwi, przepychając się i raniąc prawe przedramię odłamkami szkła. Jakieś dłonie z tłumu próbowały wyrwać mu łup. Zamrugął oczami, widząc ludzki strumień podążający do środka. Przycisnął do piersi jedną z toreb, rezygnując z drugiej. Po asfalcie wyścielającym parking potoczyły się konserwy.

Natychmiast się zakotłowało. Tylko temu Werocki zawdzięczał szansę ucieczki. Jednym rzutem ciała znalazł się za rogiem. Po rowerze nie było ani śladu... . Gnany strachem, nie zastanawiał się nad kradzieżą nawet jednej chwili. Jeszcze dziesięć minut temu wydawało mu się, że nie zdoła uczynić więcej niż dziesięciu kroków. Teraz pędził niczym łania, gnając na złamanie karku. Zatrzymał się dopiero za najbliższą kamienicą, z niepokojem spoglądając za siebie. Nikt go nie ścigał. Ludzie, w amoku, jak ćmy do światła, szli w stronę hipermarketu. Głęboko oddychając, zdławił w sobie zwierzęcy strach, ogarniający go na wspomnienie tych kilkunastu sekund przed sklepem. Tłum był gotów zdeptać za kilka kęsów jedzenia. Nikt o nic nie pytał. Odetchnął głęboko i odwrócił się stając oko w oko z małym chłopcem. Umorusana buzia wpatrywała się w niego z ciekawością. Marcin zawahał się, po czym wcisnął małemu jedną z konserw i ruszył lekkim truchtem, by skryć się za domami...

*

SPIS TREŚCI

| | |
|------------------------------------|-----|
| PROLOG..... | 4 |
| ROZDZIAŁ I ZORZA POLARNA..... | 12 |
| ROZDZIAŁ II NOWY ŚWIAT..... | 21 |
| ROZDZIAŁ III CZŁOWIECZEŃSTWO..... | 51 |
| ROZDZIAŁ IV WŁADZA..... | 65 |
| ROZDZIAŁ V CYWILIZACJA..... | 82 |
| ROZDZIAŁ VI SPOTKANIE..... | 95 |
| ROZDZIAŁ VII PIERWSZE STARCIE..... | 111 |
| ROZDZIAŁ VIII ZMIANA WARTY..... | 128 |
| ROZDZIAŁ IX ODSIECZ..... | 149 |
| ROZDZIAŁ X WDZIĘCZNOŚĆ..... | 169 |

Dziękuję za wspólną przygodę i zapraszam na karty
innych powieści

[„ZERWANE KAJDANY”](#)
[„OTCHŁAŃ GANIMEDESA”](#)
[„INCYDENT NA RIGIL PRIME”](#)
[„TOUTATIS ZNACZY ZAGŁADA”](#)
[„OPERACJA THOR”](#)
[„KRAJ ŚMIERCI”](#)

Jelenia Góra 2013

¹ Solar Dynamics Observatory – satelita obserwacyjny Słońca, wystrzelony 11 lutego 2010 roku.

² Solar and Heliospheric Observatory – satelita obserwacyjny Słońca – w kosmosie od 02 grudnia 1995 r.

³ Rozbłysk Carringtona – nastąpił na Słońcu w 1859 roku powodując zniszczenia w światowej sieci telegraficznej.

⁴ Quebec w Kanadzie padł ofiarą burzy słonecznej w 1989 roku. Następstwem był tzw. „blackout”, całkowite wyłączenie prądu na przeszło dziewięć godzin.

⁵ Air Force One – osobisty samolot prezydenta Stanów Zjednoczonych AP. Powietrzne centrum dowodzenia.

⁶ UPS – Uninterruptible Power Supply – urządzenie do podtrzymywania działania komputera stacjonarnego w wypadku zaniku zasilania. Zawiera kilka akumulatorów oraz sterującą nimi elektronikę.